ROK TRZECI.

№ 39.

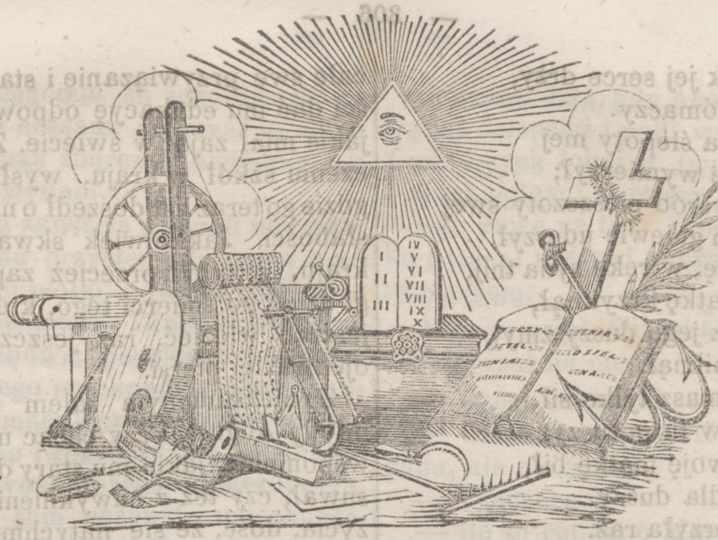
Warszawa

Dnia 14 (26) września

1858.

Niedziela

18ta po Świątkach.



REDAKCYA CZYTELNI

przy ulicy Chmielnej Nr. 1527.

PRENUMERATA

rocznie w Warszawie rs. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45. miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Błagamy Cię Panie, niech miłosierdzia Twego działanie zarządza naszemi sercami, albowiem bez Ciebie podobać się Tobie nie możemy. (Kollekta na niedzielę 18tą po Świątkach).

Brzoza na Cmentarzu.

(Powiastka z podań ludu).

—

Pod wsią *Zielonki*, wśród krakowskich skał
Był kościół w cuda wsławiony,
Głośnemi hymny, chwałą Boga brzmiał,
A dziś już w gruzy zwalony.
Tam mnóstwo grobów w rząd, jak wieńce gór
Liczne kryją pokolenia,
A brzoza, niby anioł śnieżnych piór,
Gałęźmi cmentarz ocienia;
Zawsze jest piękna, najwznioślejsza z drzew,
Że wszystkich ciekawość budzi,
I o niej dotąd żyje cudny śpiew
W uściech miejscowych tam ludzi.

O! dawno temu, może setki lat,
Gdy spytasz, lud się odzywa:
Że zmarłe dziecię— młodej wiosny kwiat,
Pod brzozą w grobie spoczywa;
Cicho, spokojnie, w swej mogiłce legł
Józio, dziecina kochana,
Aż tu raz grabarz dniem do księdza wbiegł,
I tak przeraził plebana:
Ojcze! czy zły duch na cmentarz się wdarł,
Próżno człek strzeże i czuwa,
Chłopczyk, co właśnie przed tygodniem zmarł,
Wciąż rączkę z grobu wysuwa.
Zdumiał się pleban, krzyż i stułę wziął,
Biegnie na miejsce zjawiska,
W kornej modlitwie z czcią kolana zgiął,
I rączkę w ziemię sam wciska,
Wznosi myśl w niebo, zgłębia dziecka los,
Przy małej klęcząc mogile.
Daremnie klęczy, próżny modłów głos,
Widmo znów wraca za chwilę,
Powstaje ręka z niepojętych sił,
Porusza wzgórek grobowy,
Zda się, że z ręki jakby krzewek tkwił,
A biały jak śnieg zimowy.
Pleban uderzyć rozkazał we dzwon,
Schodzą się starce i dziatki,
I wszystkich pyta, kto zna chłopca skon,
I mowę zwraca do matki:
—Dlaczego syna niespokojny grób,
Ja ludzką myślą nie schwycę,
Ty wiesz najlepiej i jak matka zrób,
Lub wyjaw nam tajemnicę.
Wzbrania się matka, z żalu leje łzy,
I ręce łamie w rozpaczy,

Jak lilja w burzy, tak jej serce drży,
Gdy życie syna tłómaczy.
—Karę widoczną dla ślepoty mej
Bóg sprawiedliwie wymierzył;
Syn mój niekarny, wśród pieszczoty swej
Raz mnie w swym gniewie uderzył.
—A więc bierz rózgę, w rękę syna tnij,
Tak pleban na matkę krzyknął,
Tem ziemską karę z jego duszy zmyj,
Aby wieczystej uniknął.
Uderz, zawołał, co masz tylko sił,
Niech matkę gniew tu poruszy;
Gdy syn za życia swoję matkę bił,
To kara wieczna dla duszy.
Zaledwie matka uderzyła raz,
Stała się niema i blada,
A rączka syna niby martwy głaz,
Do głębi grobu zapada.
I serca wszystkich, aż strach zimny zdjął,
Duszę dreszcz śmierci przenika,
A ksiądz z rąk matki rózgę brzozy wziął,
Pamiątką w grób ją zatyka.
Ot kiedy wiosną porozpuszczał lód,
Gałązka w drzewo się zmienia,
I ludziom w oczy zjawia Boski cud,
Bo się w liść gęsty zzielenia.
A chociaż wieki wieków spłynął czas,
Niejedna burza przebrzmiała,
I kościół runął, nawet z dębów las,
A brzoza stoi wciąż biała,
I co rok do niéj biegnie dzieci rój,
Patrząc nań w strachu i zgrozie,
A gdy gałązki zwiąże liści strój,
Przy białej modlą się brzozie.
Obchodzą groby, co jak wieniec gór
Liczne kryją pokolenia;
Brzoza jak anioł skrzydłem białych piór,
Gałęźmi groby ocienia.
Dotąd się wznosi najpiękniejsza z drzew,
I wszystkich ciekawość budzi;
Kto chce usłyszeć ten o brzozie śpiew,
Niech spyta tamecznych ludzi.

PIERŚCIEŃ.

(Zdarzenie prawdziwe).

Młody pan August stracił swego rodzica, człowieka pełnego zasług obywatelskich i wysokiego rozumu, który posiadając liczne włości i mając jednego tylko syna, zlał na niego całe swe przywiązanie i starał się ile możności dać mu edukacyę odpowiednią położeniu, jakie miał zająć w świecie. Ztąd też po ukończeniu szkół w kraju, wysłał go za granicę, gdzie go teraz list doszedł o niebezpiecznej ojca słabości. Jakkolwiek skwapliwie wracał do kraju, przybył przecież zapóźno, bo na drugi dzień po śmierci tego, który go pragnął raz jeszcze widzieć, raz jeszcze przycisnąć do ojcowskiej piersi.

Z niekłamanym żalem przyjął tę stratę młody August, i czy chcąc uniknąć bolesnych wspomnień, jakie mu stary dwór ojcowski nasuwał, czy też z nawyknienia do miejskiego życia, dość, że się natychmiast przeniósł do Warszawy i tam wykwintnie żyć zaczął.

Spełniając ściśle życzenia ojca, jakie mu w testamencie swym objawił, ze wszystkich sług w domu rodzicielskim będących, jednego tylko zatrzymał, który cały wiek strawiwszy na usługach jego familli, jego samego na swych wypiastował rękach i był niejako członkiem tej rodziny, której się poświęcił całą swą szlachetną duszą. Stary Marcin, tak się bowiem nazywał, liczył pod tę porę blisko 60 lat wieku; krzepki jednak i zawsze wesoły, bo z czystem sumieniem, bo z myślą, że żaden zły czyn nie plami jego życia, był typem tych rzadkich już dzisiaj sług starych, którzy przylgnąwszy do swych panów duszą i ciałem, w ich szczęściu widzą swoje dobro i chętnie dzielą z niemi złą i dobrą dolę.

Przebolał poczciwy Marcin śmierć starego pana, niejednę łzę wylał na jego grobie i znów się poświęcił na usługi swego młodego panicza.

Pan August, jakkolwiek zepsuty nieco zagranicznem wychowaniem, jakkolwiek otoczony zgrają sług nieżyczliwych i interesownych a schlebiających na każdym kroku jego próżności, lubił przecież Marcina za jego potulność, za przychylność i zaparcie się siebie, że nieraz nawet znosił jego uwagi i rady, choć nie zawsze się do nich stósował.

Nieraz też Marcin widząc, jak bezczelnie szarpią pańskie dobro niecni jego towarzysze młodzi, rozpuszczeni miejskiem życiem lokaje, szedł i z szczerem sercem opowiadał paniczowi ich niegodne postępki, szyderstwa, a nieraz uwłaczające żarciki. Wytykał ich niemoralne postępowanie i drobne kradzieże, jakich

się dopuszczali, niepomni na jego uwagi i ostrzeżenia. Panicz czasami puszczał to mimo uszu, częściej jednak zburczał niejednego, a nawet ukarał lub wydalił.

Otóż ci lokaje z zawiścią patrzeli na Marcina, zazdrościli mu przystępu do pana, a za jego, jak nazywali plotki, powzięli nakoniec silną do niego nienawiść. Długo myśleli nad tem, jakby go pozbawić pańskiego zaufania, jak go zgubić w jego przekonaniu i tym sposobem z domu usunąć; lecz wszystkie ich zabiegi były daremne i rozbijały się bezsilne o niezłomną poczciwość starego kamerdynera. Los im wreszcie sam nasunął sposobność. Nikt prócz Marcina nie mógł rozbierać lub ubierać pana, nikt do jego sypialni prócz niego nie miał przystępu, i on tylko chował i układał pańskie kosztowności. Razu pewnego późno wieczorem Marcin rozbierając pana, wsypywał w szkatułkę umyślnie na to przygotowaną, spinki i pierścionki. Jeden kosztowny brylantowy pierścień wypadł mu z ręki i potoczywszy się cicho po dywanie, którym był pokój zasłany, zatrzymał się przy samym progu. Drzwi były uchylone; jeden z lokai stojąc w przyległym pokoju dostrzegł to, sięgnął ręką i pierścień pochwycił. Marcin stary o niczem nie wiedząc, zamknąwszy szkatułkę i drzwi sypialni, legł snem spokojnym.

Nazajutrz przy ukończeniu toalety młodego Augusta, Marcin otwiera szkatułkę i nieznajduje najkosztowniejszego pierścienia; najkosztowniejszego podwójnie, raz ze względu na wartość oprawionego w nim brylanta, powtóre jako pamiątki po nieboszce matce, którą w dzieciństwie utracił. Marcin osłupiał z przerażenia, pokilkakroć przeglądał szkatułkę, lecz pierścienia nie znalazł. August się niecierpliwił, czekając, aż nareszcie biedny stary zdecydował się wyjawić mu, że pierścień zginął. Dziwne to było zdarzenie, tem dziwniejsze, że nikt od wczoraj prócz Marcina, do pokoju nie wchodził, a poczciwość jego była doświadczoną. Zdjęto więc dywany z podłogi, przerzucono, przetrząśnięto wszystkie sprzęty, lecz pierścień się nie znalazł. August nie wiedział sam, co ma sądzić o tym wypadku. Minął tak dzień jeden i drugi, starowina się martwił, sypiać nie mógł po całych nocach i nieraz gorzkie łzy zlewały jego liche posłanie.

Pewnego dnia, gdy August po obiedzie przeglądał dzienniki i palił wonne cygaro, jeden z młodszych lokai z twarzą lisiego wyrazu, z przebiegłem i chytrem spojrzeniem wszedł, niosąc kawę na tacy. Postawił tacę na stoliku i stanął u drzwi z dwuznacznym na ustach uśmiechem.

August wziął filiżankę z kawą i machinalnie spojrzał na niego.

— Czego czekasz? zapytał.

— Chciałbym parę słów powiedzieć jaśnie panu, ale nie śmiem.

— Dlaczego?

— Bo to chodzi o Marcina.

— Więc cóż?

— Mógłby się jaśnie pan gniewać.

— Nie rozumiem cię, tłómacz się jaśniej.

— Oto proszę jaśnie pana, wczoraj jakem się już do spoczynku zabierał, spostrzegłem przez szparkę ode drzwi, że przy szlabanie Marcina się świeci.

— Cóż z tego, przecież się pociemku rozbierać nie może.

— Nie o to też idzie, ale żem spostrzegł, jak coś wkładał w rozerzniętą u surduta podszewkę.

— Cóż on tam wkładał?

— Jakem się lepiej wpatrzył, dojrzałem, że to był ów pierścień brylantowy, który dwa dni temu zginął.

— Kłamiesz! krzyknął August, widząc w tem potwarz na swego wiernego sługę rzuconą.

— Nie kłamię, jak Pana Boga kocham, rzekł bezczelnie lokaj.

— Dobrze, idę się przekonać; jeżeli prawda co mówisz, Marcina oddalę, a ty dostaniesz nagrodę. Jeżeli zaś to tylko kłamstwo, pamiętaj, że surowo cię ukarzę za tak czarną potwarz. Po tych słowach wyszedł do przedpokoju, gdzie stał szlaban Marcina i maleńki kuferek z jego garderobą.

Marcina w domu pod tę chwilę nie było, a kuferek wbrew zwyczajowi starego, był zamknięty. Posłano po ślusarza, zamek odbito, i po zrewidowaniu wskazanego przez lokaja surduta, znaleziono rzeczywiście pierścień na piersiach zaszyty.

W tej chwili właśnie wszedł stary sługa, niosąc pod pachą książkę do nabożeństwa z któ-

rą codziennie po objedzie chodził do kościoła błagać Boga o odkrycie sprawcy kradzieży. Zdziwił się nadzwyczaj, widząc swego pana, który stał otoczony służbą nad jego otwartym kuferkiem.

August spojrzał na niego z wyrzutem, ukazał mu pierścień, a wyrzucając w słowach pełnych goryczy jego niecny postępek, rozkazał mu w tej chwili wynieść się z domu. Próżne były tłómaczenia i łzy; dowód był oczywisty, nie było ratunku.

Nieszczęśliwy Marcin znękany cierpieniem, przyciśnięty wiekiem, opuścił dom tej rodziny, której służąc całe życie wiernie, spodziewał się pod jej dachem zamknąć spokojnie swe powieki.

Z początku, szczupłym funduszem uciułanym z wiernej służby opędzał niewielkie swe potrzeby, lecz gdy ten zapas po kilku miesiącach zupełnie się wyczerpał, zawiesił przez plecy torbę płócienną i z żebraczym kijem pociągnął do rodzinnego gniazda, do dóbr swego panicza.

Tymczasem w domu Augusta największy nieład panował. Rozpustna służba nie czując nad sobą wiernego i czujnego oka Marcina, puściła się na wszelkie bezprawia, a kradnąc wspólnie i wzajemnie się dzieląc, zawiązała pomiędzy sobą niejako ligę na zniszczenie tego, który im płacił, który ich żywił i odziewał. Stan ten trwał lat parę. August śród uciech stolicy zapomniał swego starego sługi; ożenił się bogato i żył dalej dawnym trybem.

Jednego dnia po hucznym wieczorze, na którym bawiono się do rana, ów lokaj, który podstępem wygnał z domu Marcina i w jego miejsce został kamerdynerem, używszy zanadto trunków i jadła, zachorował niebezpiecznie. Spieszny ratunek nic nie pomagał, w parę dni stan chorego się pogorszył i ten w najokropniejszych cierpieniach wyglądał końca dni swoich; gdy po odbytej spowiedzi ksiądz dysponując go na śmierć, przyzwał do umierającego, pana Augusta, ten jako pan dobry i szczerze go żałujący pośpieszył natychmiast na to wezwanie; lecz jakże się zdziwił, gdy usłyszał z ust jego całą a prawdziwą historyę zgubionego pierścienia i niewinności Marcina. W parę minut potem chory, jak gdyby czekał tylko z tem wyznaniem, zamknął oczy na wieki.

Pierwszem staraniem Augusta było dowiedzieć się o obecnym pobycie Marcina i o wydźwignięciu go z nędzy, jeżeli popadł w takową. Lecz starania jego zostały bezowocne, bo Marcin wyszedłszy z Warszawy, przepadł jak kamień w wodę i nikt o nim nie wiedział.

Na wiosnę August z młodą swą małżonką wyjechał do dóbr swoich, by tam zamieszkać przez całe lato i pokazać jej swoje posiadłości. W niedzielę przybywszy do parafialnego w swej wsi kościołka, ujrzał śród kilku żebraków jednę postać, która go dziwnie zajęła, gdyż pomimo długiej siwej brody i wąsów, zdało mu się, że to rysy nie są mu obce. Rozdając innym jałmużnę, zbliżył się do niego i podał mu srebrną monetę, ale w tej samej chwili starzec uchwycił jego rękę i z rozrzewnieniem do ust przyciskał.

— Kto ty jesteś? zapytał August.

— Paniczu! czyż mnie nie poznajesz?—jestem Marcin, zawsze cię równie kochający, choć mnie niesłusznie z domu wypędziłeś.

August uścisnął jego szorstką rękę, prosił o przebaczenie i objaśniwszy mu cały smutny wypadek, dodał, że od tej chwili szczerem jego staraniem będzie wynagrodzić mu lata nędzy i upokorzenia.

Gdy po nabożeństwie wychodził z kościoła, spostrzegł, że Marcin w kruchcie krzyżem leżał i łzy radości rosiły jego zorane lica. Podniósł go łagodnie z ziemi, wsadził do swego pojazdu i z wielkiem podziwiniem obecnych, naprzeciw siebie i swej żony posadził.

Odtąd Marcin żył szczęśliwie obok swych młodych państwa, obsypany ich dobrodziejstwami, uważany niejako za członka ich rodziny.

Tak to Pan Bóg prędzej czy później niewinność uciśnioną wynagradza.

Życiorysy kmieci.

(Patrz nr. Cz. 38).

2. *Jędruch.*

W powiecie Miechowskim, we wsi Lelowiec, w roku 1830 dziedzic zastał w ubogiem mieniu *Jana Jędrucha* z czworgiem dziatek zagrodnika, na dwóch tylko morgach gospodarzącego. Przypatrzywszy się jego starannej pracy, trzeźwości i uczciwości, czem się między całą gromadą wsi odznaczał, dodał mu

gruntu około 150 prętów kwadratowych, z warunkiem, aby przyjął obowiązki sołtysa, w miejsce dawnego, który im wydołać nie mógł tak dla wieku, jak i sił starganych. Jędruch z początku się wymawiał, ale zostawszy sołtysem, szczególną roztropność, pilność i umiarkowanie okazał. Nie ustawał w pracy; oprócz gorliwej uprawy roli, ogródek składający się zaledwie z kilkunastu drzew, corocznie nowemi szczepami, a szczególniej śliwkami obsadził. Dziedzic pilnem okiem śledził jego postępowanie, przekonawszy się zaś, że z polepszeniem mienia, zawsze jednostajnie jest trzeźwym, moralnym i pracowitym, dodał mu gruntu na czterodniową zagrodę, tak, że całość jego gospodarstwa wynosi morgów sześć i 157 prętów.

Przez następne lata, zawsze bogobojny, pilny, pracowity, nietylko dnie swoje z gorliwością odrabiał, ale pomimo już odznaczającej się nietylko w Lelowcach, lecz i w sąsiednich wioskach zamożności, ciągle z żoną i dziećmi na zarobek wychodzący, przyszedł do zamożnego mienia. Oprócz bujnego plonu, jaki zbierał na niwie, ogródek jego przeszło 400 sztuk, po najwięszej części śliw i drzew owocowych z wielką starannością pielęgnowanych obejmuje. Gdy w ogródku zabrakło mu ziemi na pomieszczenie szczepów, granice swoje pola ornego obsadził niemi. Owocu zbiera tyle, że w 1857 roku, oprócz z użytego na domową potrzebę i powidła, w zapasie zostało mu z roku zeszłego 15 korcy śliw suszonych.

Dziedzic zaprowadził na folwarku płodozmian, Jan Jędruch przypatrywał mu się uważnie, i prostym chłopskim rozumem, nie naśladując w niczem pańskiego, u siebie zastosowany płodozmian do własnej potrzeby i małego obszaru gruntów zaprowadził. Dochód wysoki, jaki otrzymuje, dowodzi najlepiej trafności jego płodozmianu, wymyślonego we własnej głowie. Przedewszystkiem Jędrucha zwrócił całą baczność i staranie na zebranie jak największej ilości nawozu. Układa go pilnie na równej kupie, polewa gnojówką, zbieraną w osobny dołek, zasłonił gnojowisko od słońca południowego i zachodniego, przekładając je warstwami pożywniejszemi ziemi, zbieranej około domostwa. Małą łączkę przez rowek umyślnie wykopany zlewa w posuchę, i trafnie posiewa gipsem. Starania te obfitością zbioru hojnie ma wynagrodzone.

Schludność i porządek odznacza jego osadę; czysta, zewnątrz i wewnątrz wybielona chałupa, stajnia na bydło i konie, dwie stodoły i inne mniejsze zabudowania, wszystko jak najstaranniej utrzymane. Inwentarz doskonale żywiony. Jędrucha nie żałuje nigdy wydatku na przykupno potrzebnego siana, a były lata, w których na tak małém gospodarstwie 7 sztuk poprawnej krajowej rassy krów i 2, 3, a niekiedy i 4 konie oprócz trzody chlewnej utrzymywał. On pierwszy dał przykład gromadzie i zachętę do wywożenia nawozu w najodleglejsze połanki, i tym sposobem do podniesienia uprawy i do polepszenia bytu drugich się przyczynił.

Przez lat z górą 25 jak jest sołtysem, kiedy idzie o dostawienie czy to do konskrypcyi popisowych, czy do szarwarków na gruncie lub w okolicy, bez hałasu, bez bicia, ale zadziwiającą roztropnością i zabiegłością swoją, na czas oznaczony w miejsce wszystkich dostawi. Przy wybieraniu i rozkładaniu podatków gromady, sumiennością się odznacza. W wypadku pożaru, on pierwszy jest przy ogniu, umie zachęcić do ratunku, będąc dla wszystkich wzorem i przykładem gorliwości i poświęcenia.

Dom Jędruchy składa 8 osób, to jest sam z żoną, syn z córką i wnukiem, drugi syn podrostek, dwoje służących i dziewka. Wszyscy na każde żądanie dworu, o ile im czas dozwoli, na zarobek chętnie wychodzą.

Z siedmiorga dzieci, z których dwoje umarło, trzy córek: jednę za kołodzieja, drugą za kowala, porządnych rzemieślników, trzecią za zamożnego we wsi Kaczowicach rolnika wydał, i podług swego stanu znakomicie wyposażył. Jako znany z bogatego mienia, miał do nich nacisk zalotników; kierując się zawsze zdrowym rozsądkiem, przed zamożniejszymi pierwszeństwo pracowitym dawał, i dobry wybór zrobił, bo córki szczęśliwie żyją. Ożenił syna, z którym łącznie gospodaruje, i temu zapewnie zda swoję zagrodę, a jak wszystkie dzieci, tak i najmłodszego wyrostka na prawego i pracowitego człowieka sposobi. Wesela, które dzieciom sprawiał, odznaczały się zamożnością i obfitością, w przyjęciu licznie zaproszonych gości

rzadkiem umiarkowaniem w użyciu trunków, zgodą i trzeźwą ochotą w zabawie.

Jędruch obdarzony niepospolitą siłą, nigdy jej nie nadużył. Czy jako sołtys, czy jako gospodarz, umie taki w gromadzie utrzymać ład, porządek i uważanie, że w każdej zabawie, czy to przez dwór danej, czyli to we wsi, dopóki on się znajduje, można być pewnym, że do żadnej bijatyki nie przyjdzie, do której lud wiejski podchmielony, tyle ma porywczości.

Miło jest patrzeć, jak Jędruch zebranych z dziećmi i żonami zięciów swoich w dni świąteczne u siebie podejmuje, jak nawzajem w wolnym od pracy czasie, czysto i schludnie z żoną ubrany, w dobrze uprzężonym wózku, spasionemi konikami, któremi grunt swój uprawia, córki odwiedza.

Dla wiadomości naszych czytelników wiejskich, załączamy tu opis szczegółowy gospodarstwa Jana Jędrucha.

Cała powierzchnia zagrody jego wynosi morgów miary nowopolskiej 6, prętów 157, oprócz łączki przeszło 100 prętów wynoszącej. Na tej roli wysiał po zaprowadzeniu płodozmianu w porządku następnym:

1. (Na nawozie) ziemniaki, buraki i kapustę.
2. Jęczmień i proso.
3. Koniczynę.
4. Pszenicę i żyto.
5. (Na nawozie) groch.
6. Żyto i owies.

WYSIAŁ w roku 1857 i ZEBRAŁ:

Wyszczególnienie ziarna.	Wysiał		Zebrał		Otrzymał		Wypada na plon ziarn.	Wartość tegoroczna korca zboża, okopowych roślin, lub centnara karmu i kopy słomy.		Ogólna wartość zebranych płodów.	
	Korce.	Garnce.	Kopy.	Snopy.	Korce.	Garnce.		złote	grosze	złote	grosze.
Pszenicy	,,	16	3	,,	4	16	9	22	,,	99	,,
Żyta	1	8	9	,,	13	16	10⅘	12	,,	162	,,
Jęczmienia	1	24	12	,,	22	,,	12 ⅐	10	,,	220	,,
Grochu	1	,,	4	,,	5	,,	5	18	,,	90	,,
Owsa	,,	16	2	,,	6	,,	12	10	,,	120	,,
Prosa	,,	2	1	30	4	16	72	12	,,	54	,,
Ziemniaków	6	,,	,,	,,	48	,,	8	5	,,	240	,,
Buraków	,,	,,	,,	,,	15	,,	,,	4	,,	60	,,
Rzepy jesiennej	,,	,,	,,	,,	18	,,	,,	3	,,	54	,,
Koniczyny ze spasioną w porze letniej na zie ono, centnarów	,,	,,	,,	,,	,,	,,	60	3	,,	180	,,
Siana i potrawu z łączki nad strumykiem centnarów	,,	,,	,,	,,	,,	,,	30	2	15	75	,,
Słomy ogółem	,,	,,	31	30	,,	,,	,,	10	,,	315	,,

Ogółem złotych polskich 1666, czyli rs. 249 kop. 90.

Dochodu zatem, obliczając w przecięciu z jednego morga miary nowo-polskiej, miał złp. 256 gr. 9, nie licząc w to dochodu z nabiału, nierogacizny i ogrodu owocowego.

Towarzystwo rolnicze Jana Jędrucha za wzorowe gospodarstwo, bogobojne, pracowite i uczciwe życie, mając na uwadze moralne wychowanie dziatwy, po sprawdzeniu na miejscu podanej wiadomości o nim, zaszczyciło listem pochwalnym obok nagrody pieniężnej, w summie rs. 50.

Hygiena popularna.

(Patrz nr. 34 Czytelni).

Jak ze zboża wyrosłego, lub mokro zebranego piec chleb, o ile można zdrowy.

—

Ponieważ skutkiem kilkodniowych deszczów, jakie w porze tegorocznych żniw przypadły, znaczna część zboża w kraju porosła, lub mokro sprzątnioną została, a przez źle zrozumianą oszczędność, wolimy zdrowe ziarno obcym wyprzedać, i sami wyrosłem zbożem własne żołądki zatruwać, aniżeli się za własną pracę zdrowym pokarmem krzepić; ażeby więc ziarno to, a raczej chleb z niego pieczony, o ile można najmniej szkodliwym

zdrowiu uczynić, zachować należy środki ostrożności, jakie w tym celu poniżej wam podajemy.

Zboże mokro sprzątnione nie wprzód do używania brane być ma, jak na wiosnę, kiedy już zupełnie wyschnie, albo przynajmniej trzeba je zwolna wysuszać częstem przerabianiem i rozpościeraniem, zanim się mleć będzie. Mąka z niego nie powinna się pozostawiać w workach, boby się pokrupiła, ale rozpościerać ją należy na kopani lub niecce, albo w skrzyni przewietrzać i codziennie przegarniać, a przed rozczynieniem na ciasto, dobrze przy piecu wysuszyć należy. Kto może, ten niech domiesza do niej połowę ze zdrowego ziarna otrzymanej, albo trzecią część dobrej jęczmiennej.

Do rozczynu tej mąki bierze się mniej wody niż do dobrej, ale za to więcej kwasu mocnego i więcej soli suchej, niż się pospolicie sypie do zwyczajnego pieczywa. Ciasto przykrywa się ciepło, aby dobrze wyruszyło, potem przerabia się długo i mocno, aż stwardnieje i dopiero się zostawia, aby dobrze narosło. Bochenki trzeba robić niewielkie i nie wysokie, ani też naraz piec dużo, gdyż chleb taki łatwo pleśnieje, przez co staje się jeszcze szkodliwszym. Piec ma być umiarkowanie gorący, gdyżby chleb dostał za prędko twardej skórki, wilgoć z niego nie wyparowałaby dostatecznie, przez co stałby się zakalcowaty i niedopieczony.

Kto zaś musi *porosłe zboże* wypiekać, ten niech bierze garść miałko przesianego popiołu, niech go zawiąże w czystą lnianą szmatę i niech włoży do wody mającej się grzać do rozczynu. Gdy się woda zagrzeje jak należy, wyjmuje się z niej węzełek z popiołem i leje do niej kilka kieliszków gorzałki, poczem się tak przyrządzoną wodą ciasto zarabia, według przepisu, jak wyżej. Dodanie kminu do ciasta, czyni chleb zdrowszym i nie tak rozdymającym; chleb z pieca wysadzony nie ostudza się nagle, ani go też świeżo jeść należy. Mąkę na kluski z takiego zboża zarabiać potrzeba gorącą wodą.

Jeszcze szkodliwszy, niż porosłe lub mokre zboże, jest w życie *sporysz* inaczej *żytnicą* zwany, który się tworzy z zepsutych ziarn, gdy w nich dla zbytniej wilgoci i zimna mlecz gnije (1). Mąka z nich jest sina i śmierdzi; ciasto z takiej mąki rozcieka się, a chleb po upieczeniu jest kruchy. Świnie, kury, gęsi, kaczki i muchy zdychają od wody, w której sporysz był płukany, ludzie którzy takiej mąki wiele używają, dostają bólu po kościach i stawach i na inne rozmaite narażają się choroby, jak to liczne wypadki stwierdziły. Komu tedy zdrowie miłe, ten niech się stara ze zboża swego pozbyć sporysza, gdy go jest dużo i przed zawiezieniem do młyna, niech pławi zboże i przegarnia, przez co ten spłynie na wierzch i łatwo da się zebrać. Młynarz zaś jeśli chce być dobrym chrześcianinem, takiego zboża, w którem jest wiele sporyszu, sypać na kosz nie powinien, aż z niego oczyszczonem będzie.

Pszenica *murzynka* (2) równie starannie oczyszczona i opłukana być ma, gdyż inaczej szkodzi zdrowiu. Na sprzedaż zaś takowa pszenica oczyszcza się jęczmienną ospą, lub jęczmiennemi plewami, przez deptanie i przerabianie jej w nich. W czasie silnych mrozów przesypawszy pszenicę zmarzłym śniegiem i wydeptawszy należycie, można ją z murzu czyli śnieci oczyścić, a potem na spichrzu cienko rozciągnąć dla przesuszenia, lub na klepisku, gdzie od wiatru jeszcze się prędzej wysuszy. Inni depcą ją w utłuczonej glinie suchej i wieją, a potem arfują, dla pozbycia się piasku.

O kulistości ziemi.

—

— Powiedz mi drogi ojcze, dlaczego patrząc w górę, oko nasze widzi tak daleko znajdujące się słońce, księżyc, a po ziemi wzrokiem sięgając, zaledwie mil parę wokoło dojrzeć jesteśmy w stanie?

— Mój synu, przyczyną tego nie jest nasze oko, boć przecież widzisz słońce, lub księżyc wschodzące, tak dobrze, jak gdy do góry się wzniosą; powodem zaś, iż nie możemy dojrzeć zbyt dalekich przedmiotów, jest krzywość powierzchni ziemi. Stając na otwartem miejscu,

(1) Są to owe ziarna czarniawe nad kłos wystające (smaku słodkawego), długie i zwykle krzywo wyrastające, (secale cornutum).

(2) Tak zwaną jest pospolicie pszenica ze śniecią, czyli murzem.

widzimy zaledwie małą cząstkę ziemi, która się wydaje jakby płaszczyzna zewsząd otoczona sklepieniem nieba, i dlatego dobrze tę widzialną naokoło część ziemi, nazywamy *widnokręgiem.*

— A jak wielki jest ten widnokrąg?

— To mój kochany zależy od okoliczności; naprzód od przeszkód np. lasów, gór, które zasłaniają widnokrąg, powtóre od wysokości, z jakiej chcemy naokoło patrzeć. Im wyżej staniesz, tém dalej okiem sięgnąć możesz; tak np. z wieży klasztoru na górze Sto-Krzyskiéj w dzień pogodny można dojrzeć góry Karpackie, które kilkanaście mil w polskim kraju za Wisłą ku południowi leżą; z najwyższej góry w Karpatach zwanej *Łomnicką*, można naokoło do 23 mil wszystko obejrzeć; a gdybyśmy mogli dojść na szczyt najwyższej góry na ziemi, zowiącej się Dawalaghiri, to oko na wszystkie strony widziałoby w odległości 44 mil.

— To proszę ojca, gdyby się balonem wysoko wznieść na brzegu ziemi, toby ją można było obejrzeć z obu stron odrazu?

— Nie zrozumiałeś mnie mój synu—ziemia nie ma końca, brzegów, bo jest kulą jak piłka, tylko nie gładką kulą, ale nastroszoną górami, powyżłobianą dolinami, wąwozami, które jednak w porównaniu do jej wielkości są nic nieznaczące, stanowią daleko mniejsze chropowatości, jak na pomarańczy te drobne nierówności skóry.

— A zkądże wiadomo, że ziemia jest kulą, kiedy obejrzeć całej nie można?

— Na to są dowody bardzo przekonywające — naprzód to, co mówiłem, że wszędzie widnokrąg jest kołem, że im wyżej wejdziesz, tém dalej widzisz, wyraźnie świadczy, że ziemia nie jest płaska, ale że jednakowo ze wszystkich stron się zakrzywia. Zresztą wiesz dobrze, że jadąc do Warszawy, naprzód dostrzegasz na krańcu widnokręgu wieże kościelne, a dopiero powoli w miarę zbliżania wychylają się kościoły i domy. Gdyby ziemia była wszędzie płaską, to naprzód widziećbyśmy powinni kościoły i dachy, a w końcu cienkie wieże, ostrza, tak, jak wpatrując się w konnego jadącego na otwartem polu, wprzód oko rozpoznaje konia, jeźdzca, a dopiero w wkońcu dostrzega proporzec lub dzidę.

— Tym sposobem ziemię możnaby piechotą obejść?

— Obejść piechotą nie podobna, bo liczne rzeki, morza, ocean przeszkadzają, ale okrętem objechać, to bardzo łatwo i podobnych podróży wiele już dokonano.

— To patrząc na ziemię np. z księżyca, ziemia wydawać się musi jak koło?

— Jeżeli tylko na księżycu są mieszkańcy, to widzą naszą ziemię w takim kształcie, jak my widzimy księżyc, to jest zawsze jak koło. Bo kształt kulisty jest wspólny wszystkim ciałom niebieskim, i dlatego gdy jedno ciało, np. księżyc wchodzi w cień rzucony przez ziemię, czyli podczas zaćmienia księżyca, zawsze część księżyca zakryta ograniczoną jest mniejszym lub większym łukiem koła; gdy znów księżyc przesuwa się między ziemią i słońcem, to jest, gdy następuje zaćmienie słońca, wtedy część słońca zakryta przed naszém okiem, ma kształt koła lub cienia koła. Zaćmienia więc księżyca są pięknym dowodem kulistości naszej ziemi, gdyż gdyby ziemia miała kształt kończaty, wówczas i cień przez ziemię rzucony także ostre brzegi musiałby przedstawiać, a na księżycu plama ciemna nie byłaby tak, jak jest zawsze okrągłą.

Dwa pługi.

(Bajka).

Ukuł kowal w swej kuźni dwa wyborne pługi,
Obadwa wykończone, jak jeden tak drugi;
W obu było żelazo dobre, jednakowe,
Jednakowo też lśniły te dwa pługi nowe.
Chłop kupił jeden z pługów, wziął go do orania,
Drugi kupił na zapas i wziął do schowania.
Pług pierwszy skibę krajał, i na chleb pracował,
Pług drugi stojąc w spichrzu, w kącie gdzieś próżnował;
W rok potem jakaż korzyść dla obu wypadła?
Pierwszy błyszczał jak srebro, a drugi rdza zjadła.

W drukarni J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa d. 8 (20) września 1858 r. Starszy cenzor, *F. Sobieszczański.*